№ 53. Warszawa, dnia 20 Czerwca / 2 Lipca 1872 roku. Tom II. — Rok I.

WIENIEC

PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs 1 kop. 35, Wieniec wraz z dodatkiem Encyklopedyi Powszechnéj w 8-miu tomach rocznie Rs. 9 kop. 40, kwartalnie: Rs. 2 kop. 35.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, kwartalnie rs. 2, wraz z dodatkiem Encyklopedyi rocznie rsr. 13, kwartalnie rsr. 3 kop. 25.

Wydawca Hipolit Orgelbrand.

Ekspedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austryackiém: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego kwartalnie: flor. 3 cent. 25; wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwartalnie florenów 5 cent. 5.
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich i pożytecznych, kwartalnie: flor. 3, wraz z dodatkiem Encyklopedyi flor. 4 cent. 80.
W W. Ks. Poznańskiém: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½, wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwart. tal. pr. 2 sgr. 22½.

STANISŁAW MONIUSZKO.

Dokończenie. (Ob. Nr. 52).

Moniuszko tę iskrę Prometeusza posiadał niezaprzeczenie. Ślady jéj na wszystkich utworach są widoczne, czy to zwrócimy uwagę na melodyą, czy na tę wykwintną harmonizacyą, czy na formę, czy nakoniec na instrumentacyą. Bez niéj niepotrafiłby stworzyć rzeczy tak wielkich a niepospolicie oryginalnych, dla których wcale niemiał wzorów przed sobą. Dość przypomnieć „Widma" (Chór nocnych ptaków), „Sonety," „Lirnik wioskowy," „Maciek," i tyle innych. Wskażcież mi kompozytora mającego takie pomysły! Jeden tylko Berlioz je miewał, ale za to brak mu owéj prostoty, o któréj wspominaliśmy wyżéj.

Co się tycze wiedzy, ta była u Moniuszki olbrzymią. Począwszy od najścislejszych studyów harmonii, kontrapunktu, fugi i t. d. pod kierunkiem uczonego Rungenhagena odbytych, wiedza ta wzrastała bezustannie, nawet wtedy, kiedy się już stał samoistnym mistrzem, artystą samodzielnym. Oprócz ciągłego szperania w dziełach teoretycznych, bezustannie się zajmował studyowaniem partytur, wszelkich dzieł wokalnych, fortepianowych, skrzypcowych, wiolenczelowych i t. d.

Z Chopinem nadzwyczaj sympatyzował i miał do dzieł jego szczególne nabożeństwo. Znał je wszystkie z całą dokładnością krytyka, a uwielbiał z zapałem młodzieńczym (*). Łączyła ich wspólność źródła, z którego obaj czerpali, wspólność tła, na którém obaj swe obrazy malowali—narodowość. Będąc przez lat czternaście dyrektorem opery, miał Moniuszko sposobność poznania wszystkich dzieł muzyki dramatycznéj w najdrobniejszych jéj szczegółach. Będąc organistą, dyrygując muzyką kościelną, ucząc gry fortepianowéj, wykładając naukę harmonii, kompozycyi, bezustannie zgłębiał muzykę wszechstronnie. Nie opuszczał żadnéj sposobności posłyszenia rzeczy godnych lub ciekawych. Bywając za granicą, nie opuścił żadnéj opery, żadnego koncertu, gdziekolwiek się spodziewał usłyszeć coś godnego słyszenia. Słowem śledził najpilniéj wszelkie objawy muzyczne i żaden krok w sztuce postawiony nie był mu obcy. Oprócz tego nie mieliśmy i nie mamy żadnego kompozytora po za obrębem muzyki tak wysoko i wszechstronnie wykształconego, jak był Moniuszko. Był nadzwyczaj we wszystkich gałęziach literatury oczytany i miał smak w literaturze niepospolicie wyrobiony. Mieszkając w Wilnie pisywał czasem do „Kuryera Wileńskiego" recenzye muzyczne i miał znakomity talent pisarski. Z dzieł teoretycznych wydał tylko w przeszłym roku „Pamiętnik do nauki harmonii," dzieło rozwiązujące najprostszym sposobem wiele trudnych kwestyj w pedagogice muzycznéj. Zostawił w rękopiśmie ukończoną szkołę na fortepian i wiele pozaczynanych teoretycznych notatek i urywków. Z tego pobieżnego szkicu widzimy, że Moniuszko posiadał wszystko, a nawet bez porównania więcéj niż się zwykle po kompozytorze wymaga, bo miał olbrzymi talent wrodzony, połączony z najobszerniejszą działalnością.

A jednak przy tak ogromnym zapasie wiedzy, czynnikiem grającym w utworach jego najważniejszą rolę było—uczucie. Nie ma ani jednéj kompozycyi jego, pozbawionéj czułości, rzewności, tkliwości... Nie miewał wprawdzie w najdramatyczniejszych sytuacyach owéj wściekłości i furyi, jaką spotykamy u Beethovena, Berlioza, Wagnera a nawet u Chopina. Ale to było zgodne z jego charakterem słodkim, spokojnym i od wszelkich starć przykrych stroniącym.

Przy tworzeniu każdéj kompozycyi Moniuszko potrzebował zawsze żywo przejąć się przedmiotem, widzieć go jasno oczyma duszy, pojmować dokładnie.

Błąkanie się i nurtowanie po manowcach mglistych, nieokreślonych, wcale do usposobienia jego nie przypadało. Z tego powodu, chociaż cenił wysoko talent kompozytorski Schumana, jednak z nim nie sympatyzował. Treść kompozycyi musiała mu się zawsze w jasnych i dosadnych konturach przedstawiać, i dla tego przy tworzeniu zawsze potrzebował słów, któreby mu jak drogoskazy kierunek kompozycyi oznaczały. Z tego powodu bardzo mało pisał utworów czysto-instrumentalnych.

Zdarza się nazbyt często u wielu kompozytorów, że zawładnąwszy środkami mechanicznemi i zgłębiwszy dokładnie ich naturę, poprzestają nadal tylko na zabawianiu się niemi i uważają je za cel w pracach swoich. Wszystkie te środki posiadając Moniuszko nigdy w podobny obłęd nie wpadał. Używał ich tylko o tyle, o ile je do wcielania myśli swoich uważał za potrzebne.

Niektórzy zarzucali mu, że w kościelnych kompozycyach nieco światowym językiem uczucia swe religijne tłómaczy. Ale to ze strony je-

(*) Kiedy w r. 1857 Kraszewski, przejęty entuzyazmem ku grze rozgłośnego naówczas w kraju naszym Apollinarego Kątskiego, w jednym z listów swych do Gazety Warszawskiéj pisanych umieścił porównanie mazurów Chopina z mazurami Kątskiego, stawiąc ostatnie wyżéj niż pierwsze, Moniuszko natychmiast wystąpił w obronie ulubionego swego kompozytora, takiém porównaniem pokrzywdzonego. Patrz Ruch Muzyczny, rok 1857 Nr. 11 str. 84.

go było tylko szczerością. Jakiś Palestrina, będąc ascetą, nie dziw że języka światowego w swych utworach nie używał, bo język ten nie był jego zwyczajnym językiem. Moniuszko zaś będąc towarzyskim i światowcem, nawet w chwilach religijnego zachwytu i natchnienia nie przywdziewał włosienicy, na wzór faryzeuszów nie przykrywał się worem, lecz korząc się w duchu i spowiadając się przed Panem, maski nie przywdziewał, i modlił się tym językiem, jakim zwykł mówić zawsze. Nigdy przecież myśl jego podczas modlitwy przedmiotami światowemi zaprzątniona nie była. Nawet kiedy w operach przychodziła mu chęć pomodlić się, to i wtedy umiał myśl swą zupełnie od świata oderwać i pogrążyć się w religijnéj zadumie. Świadczą o o tém wymownie modlitwy w „Halce" i we „Flisie."

Z pomiędzy wszystkich kompozytorów oper nie znamy ani jednego, któryby tak pilnie i gorliwie przestrzegał praw piękna, jak Moniuszko. Żadna pokusa, największe obiecujące powodzenie nigdy skłonić go nie zdołała do użycia jakiegoś effektu, któryby tym prawom się sprzeciwiał. Zaiste był to prawdziwy kapłan sztuki z prawdziwém namaszczeniem, który nigdy wiary swéj się nie zaparł, ani ołtarza swego nie skałał.

Instrumentacya Moniuszki była nadzwyczaj wykwintna. Nie była wprawdzie olśniewająca, jak u wszystkich rutynistów, lecz przeglądała z niéj zawsze niezmierna wynalazczość dowcipu.

Moniuszko należał do małéj liczby kompozytorów, szanujących chwile natchnienia. Zwykle zostawiał swe utwory nietkniętemi, takiemi jakiemi pod wpływem natchnienia się zrodziły, nie poddając ich następnie pod ścisłą kontrollę zimnego rozmysłu, coby niezaprzeczenie silnie na ostudzenie wpłynęło. Ztąd to wszystkie jego kompozycye tyle ciepła w sobie zawierają.

Takiego to mistrza wielkiego, tak znakomitego kompozytora i człowieka obecnieśmy stracili! Imię jego chlubą dziejów naszych będzie, a dzieła jego w dziejach sztuki stanowić będą pomnik trwałości niepożytéj.

Nie możemy tu wypowiadać wszystkich uwag które się nam o tym wielkim kompozytorze nasuwają, gdyż musielibyśmy zbyt przekroczyć granice nasze. Nie możemy nawet podać spisu szczegółowego wszystkich prac jego, tak ilość jest ich wielka. Ograniczamy się więc na wymienieniu tylko prac większych.

Muzyka kościelna. „Litanie Ostrobramskie" na chór i orkiestrę.

Dużo mszy świątych i żałobnych, to z organem, to z orkiestrą.

Śpiewy kościelne rozmaite solowe i zbiorowe.

Kantaty z orkiestrą. „Milda." — „Nioła." — „Krumine."—„Widma."—„Sonety Krymskie."—

Do tego działu też zaliczyć wypada balladę: „Pani Twardowska."

Fantazya na orkiestrę. „Bajka."

Opery. „Loterya." — „Ideał." — „Nowy Donkiszot." — „Nocleg w Apeninach." — „Woda cudowna." — „Sielanka." — „Betly." — „Halka." — „Jawnuta." — „Flis." — „Verbum nobile." — „Rokiczana (nieskończona). — „Hrabina." — „Straszny dwór." — „Parya." — „Beata." —

W tym roku zajął się pisaniem opery dwuaktowéj, pod tytułem „Trea," do któréj mu libretto napisał pan Jasiński, wziąwszy treść z legendy flamandzkiéj. Lecz śmierć ukończyć ją przeszkodziła i pierwszy akt jeszcze nie skończony.

Do „Konia spiżowego" Aubera dorobił recitatiwa w miejscu prozy mówionéj.

Dramata, do których muzykę dorabiał.

„Sabaudka, czyli błogosławieństwo matki."— „Kasper Hauser." — „Don Juan de Barbastro." — „Karpaccy Górale" Korzeniewskiego. — „Hamlet."—

Niedługo przed śmiercią rozpoczął pisać muzykę do dramatu „Hans Mathis" i zostawił nieukończoną.

Śpiewy z towarzyszeniem fortepianu: Sześć śpiewników domowych. Nadto mnóztwo śpiewów luźnych, z których większych rozmiarów są; „Trzech Budrysów." — „Maciek." — „Lirnik wioskowy."

Kompozycyj fortepianowych pisał mało stosunkowo, i te po większéj części w wieku młodym. „Polonezy." — „Mazury." — „Walce."— „Polki."— „Vilanella," kilka transkrypcyj i t. p. „*Kwartety wokalne.*"

Przez lat kilka ostatnich był professorem kompozycyi i harmonnii w Instytucie Muzycznym.

Pozostałą w rękopiśmie ogromną ilość kompozycyi wdowa po Moniuszce poruczyła uporządkowaniu Józefa Wieniawskiego, którego nieboszczyk za dobrego przyjaciela i wybornego muzyka uważał.

Obecnie kiedy kraj cały tak słusznie się zajął ustaleniem losu pozostałéj po Moniuszce rodziny, nie od rzeczy będzie przypomnieć, że scena krakowska, przedstawiając już tyle razy „Halkę", nic zgoła za to kompozytorowi nie zapłaciła. Teatr krakowski obiecał dać za to trzecie jéj przedstawienie na dochód Moniuszki. Kiedy jednak sześć przedstawień minęło, Moniuszko wiedząc, że „Halka" dobre w Krakowie ma powodzenie, napisał do Dyrekcyi teatralnéj, przypominając o niedotrzymaniu zobowiązania. Dyrekcya odpisała że siódme „Halki" przedstawienie w dniu 3 Stycznia 1867 r. t. j. we Czwartek dane będzie na dochód kompozytora. Moniuszko przyjechał wtedy sam do Krakowa i publiczność zwabiona obecnością jego w lot bilety wszystkie rozkupiła. Wtedy w dzień, w którym być miało przedstawienie, miejsce w afiszu gdzie było napisano: „na dochód Stanisława Moniuszki", zalepione zostało kartką zapowiadającą, że dochód wpłynie do kassy teatralnéj i przedstawienie się odbyło 21 Stycznia tegoż roku w poniedziałek. Moniuszko powrócił z Krakowa, nic ztamtąd nie wziąwszy. Mamy w ręku ów afisz z naklejeniem, jako osobliwość. Nie robimy żadnych ztąd wniosków ani uwag, ale sądzimy, że Kraków zechce pierwéj z należności się uiścić, a następnie już ofiary czynić dla pozostałéj rodziny. Praga Czeska także za „Halkę" nic nie zapłaciła, ale tam już głos nasz nie doleci.

Fuza.

GRAF JAROSZ.

I.

U szczytu granitowych skał,
Nad brzegiem górskiéj, strumienistéj rzeki,
Hrabiowski zamek ucztą nocną wrzał—
Szalony!... dźwigał na swych barkach wieki!...

Szeregi starożytnych sal
Huczały orgii piekielnéj śpiewem;
Co chwila z pieśni rozhukanych fal
Okrzyki wściekłéj gry buchały z gniewem.

Swawolna dziewcząt strojnych dłoń
Stuletniém winem napełniała czary;
Namiętnym blaskiem drgała oczu toń;
Szumiała krew; pieniły się puhary.

Napróżno antenatów rząd
Pijanym wnukom ostro ciskał w twarze
Przekleństwa pozagrobowego sąd..
Napróżno!... Ci go nie słyszeli w gwarze!...

Umarłym—zimna pleśń i grób!...
A dla nich—białe, rozognione łona—
I szept ognisty czarujących *lub*—
I śmiech—i rozkosz, co w objęciach konał...

II.

Na rozpasany gości tłum
Graf Jarosz jeden patrzał niewesoło;
Co chwila brózdy tajemniczych dum
Posępnie młode rysowały czoło.

Niemiły mu był dziki gwar—
I w hańbie tarzająca się ochota—
I bezwstyd nagi ucztujących par—
I śpiew—i brzęk wygrywanego złota.

I cóż to jest?... Czy zamku pan
Zrozumiał groźbę niemą owych źrenic,
Co spoglądały nań z komnaty ścian?...
Czy martwych lic zawstydził się młodzieniec?...

Nie! hrabia dumny był jak czart,
I własną tylko samowolę cenił;
A odbiegł od kielicha i od kart—
Gdyż humor jego pański się odmienił.

W téj chwili był on szału syt—
I szału i pogardy dziwnéj razem:—
Więc w duchu czuł jak gdyby wstrętu zgrzyt...
Sam sobie zdawał się—stygnącym płazem...

III.

Przekroczył graf zamkowy próg
I wszedł, znękany, smutny, do ogrodu,
Co drzemał w siatce księżycowych smug,
Czasami drżąc od wiosennego chłodu.

I z wolna stygła wrząca krew—
I w duszy téj, zgorzkniałéj od przesytu,
Rozwiewał się, jak mgła poranna, gniew,
A zrywał się młodzieńczy ton zachwytu.

Majowa, świeża kwiatów woń
Budziła pierś do spokojniejszych wrażeń...
I westchnął graf, bo nagle doszły doń
Poszepty chwil ubiegłych—dawnych marzeń...

Z niejasnéj dali matki głos
Pieszczotą, żalu pełną, w serce spłynął...
W promykach gwiazd zabielał ojca włos—
I dziecka skroń, jak srebrny splot, owinął...

Wtém, nagle, łuny krwawéj blask
Oświecił drzew majestatyczne czoła—
I muzyka i dziki jakiś wrzask
Rozległy się, jak czarci chór, dokoła.

IV.

Młodzieniec rozmarzony drgnął...
Wydało mu się, że we własnym duchu
Posłyszał rozgwar ten... Więc strach go zdjął—
I chwilę stał, jak martwy głaz, bez ruchu.

Lecz jedno tylko mgnienie trwał
Ten zamęt myśli... Graf na ogień zmierza...
Po chwili w parku ponadrzecznym stał;—
Aż tam... Graf oczom swoim nie dowierza.

Podnóże aksamitne gór
Zaległy szatry ciemne i ogniska—
I pieśnią dziką brzmiał bukowy bór—
I ludzkich widm roiły się mrowiska.

„Cyganie"—szepnął dumny pan,
I ręką tylko skinął pogardliwie,
Gdy banda brudna poszła w dziki tan
I dźwięki trąb ozwały się chrapliwie.

Bo oto Ćwik, cygański król,
Jak cezar, strojny w łachman purpurowy,
Otwierał namiot swój—płócienny ul—
I witał Jego cześć skinieniem głowy.

V.

I rzekł: — „Niech Wasza Grafska Mość
„Daruje, żeśmy jego park zajęli...
„Bezpieczny będzie zamek wasz i włość...
„Nikt kury nawet wziąć się nie ośmieli...

„Zaręcza król!" — I graf się śmiał...
Bawiła go monarsza ta powaga...
Uspokojony Ćwik wnet hasło dał—
I ukazała się prastara Jaga.

U wiedźmy jeden sterczał ząb,
Lecz za to szpony jak u rysia miała,
A przytém koci wzrok, którego głąb
To żółto, to zielono wciąż migała.

—„Posłuchaj, grafie z duszą lwią!"—
Wyrzekła wróżka, biorąc pańską rękę—
„Połączysz się z królewską sławną krwią:
„Lecz to ci nie na szczęście, a na mękę!...

„Posłuchaj!..."— Graf nie słuchał już;
Bo nagle, z dźwiękiem trąbek i dzwoneczków,
Wyleciał z szatry—dziw—królewna burz—
Najpowabniejszy z rajskich djabełeczków.

VI.

Dwanaście może miała lat
Dzieweczka, śliczna, jak marzenie wschodnie:
Lecz uśmiech jéj—to cały szczęścia świat,
A oczy, w łunie ognisk—dwie pochodnie.

I oto w dziwny jakiś lot,
Nóżkami, jak u Peri, fruwać jęła—
Aż w końcu, zwinnie, jak młodziutki kot,
Gdy godzi w mysz, u grafskich nóg stanęła.

Spojrzała tylko nań—i w śmiech!
A tak cudowny urok był jéj śmiechu,
Że go porwało zaraz tysiąc ech...
A ona już się znowu śmiała—echu...

Po śmiechu następował śpiew—
A po nim, jak po dymie płomień—taniec—
Kaczucza, co rozpala mózg i krew—
Bo sama jest wybuchem żądz bez granic.

...I znikła, nakształt sennych mar,
Za szatrą, w okazalszym drzew namiocie...
Młodego grafa pętał jakiś czar,—
Aż nagle go zbudziła—myśl o złocie.

VII.

...I kupił Diwę... Mądry Ćwik
Pochodził z rodu książąt afrykańskich:
Więc nie uważał na dziecięcy krzyk,
Gdy słyszał dźwięk dukatów chrześciańskich.

Jak biedny, usidlony ptak,
Dziewczątko rwało się do dzikiéj woli...
Zaklęcia starych wiedźm i króla znak
Złamały opór łez... uległa doli.

I porwał graf swój żywy łup...
Tymczasem w zamku nieobecność pana
Budziła pośród rozmarzonych grupp
Niepokój i ciekawość aż do rana.

Czekano... Lecz na drugi dzień
Rozpytującym się oznajmił sługa,
Że hrabia w nocy wymknął się jak cień,
I że niebytność pana będzie długa.

Upłynął tydzień—miesiąc—rok...
Graf Jarosz był gdzieś w Rzymie... W końcu [wrócił.
Lecz w życiu jego zapadł jakiś mrok —
Bo zamknął się i dawny odmęt rzucił.

VIII.

Mijały lata... Hrabia wciąż
Samotne i posępne pędził życie:—
Tajemnych widać smutków czarny wąż
Owinął dumną pierś i gryzł ją skrycie.

I biegła między ludzi wieść,
Że dom hrabiowski był siedliskiem zbrodni,
Że Jarosz mógłby stracić mienie, cześć,
Że mniejsi winowajcy—żyć niegodni.

I prawda!... słuszny był ten sąd—
A wyrok stał już zapisany w niebie:
Gdyż serce młode skaził pychy trąd...
Śród ludzi graf wyłącznie żył dla siebie.

Po dniach młodzieńczych, wściekłych burz,
Opanowała go pogarda świata...
Graf Jarosz cierpiał—bo nie kochał już...
Bo w żadnéj z istot ludzkich nie czcił brata!

Szalony! Samolubnie śnił
O szczęściu bez ofiary i bez trudu:
Lecz mary te i żądze w łonie krył,
I czekał gniewnie— śmierci, albo cudu...

IX.

Złowieszczy był to czas... Lecz dość
Tych badań ducha!... Wróćmy do powieści...
Pewnego dnia na zamek przybył gość—
Kobieta—cud piękności— sylf niewieści...

Urocza, jak poety sen,
Zjawiła się przed smutnym zamku panem
Szesnastoletnia, śliczna Diwa... Ten,
Zaledwie spojrzał, uczuł się porwanym.

„Cyganka!"—krzyknął—i jak lew
Na zdobycz, chciał w objęcia jéj się rzucić:
Lecz w oczach Diwy błysnął taki gniew,
Że hrabia drgnął—i musiał się odwrócić.

Straszliwy był tych oczu żar—
I ust wiśniowych, cudnych, śmiech szyderski—
I piersi falującéj młody czar—
I główki rzut niewieścio-bohaterski.

—„Tyś moja!" zgrzytnął.—„A! czy tak?...
„Nie będę rąk twych pańskich całowała!..."
I lekka, jak spłoszony rajski ptak,
Po chwili w oknie nad przepaścią stała—

X.

I w śmiech!...—„*Beau sire!* kupiłeś mnie—
„Chowałeś na kochankę... Masz ją... Chwytaj!
„Wszak prawda, że tak pięknéj w żadnym śnie
„Nie oglądałeś jeszcze?... Lecz zapytaj:

„Czy ja cię chcę, sułtanie mój?...
„Nie! Diwa gardzi tobą i niewolą!...
„Pieniądze twe stracone!..."—„Diwo! stój!
„Jedyna moja! Słowa te mię bolą.

„Jak ostry, rozpalony nóż!..."
I blady—padł, jak dziecko, na kolana
I błagał: — „Diwo! nic nie żądam już!
„O! znijdź!... Miéj we mnie męża, a nie pana!"

Dumała chwilkę... Białą skroń
Oparła o rączynę... Potém—wiotka—
Zleciała—i podała hrabi dłoń,
Wygiąwszy się zalotnie, z wdziękiem kotka.

A on—to płonął wciąż, to drżał
Z rozkoszy i obawy... W miesiąc potém
Graf Jarosz z Diwą u ołtarza stał—
Choć piękny świat w oboje bryzgał błotem.

XI.

I znów ubiegło kilka lat...
Hrabina teraz wielka była pani...
U nóżek jéj zapomniał piękny świat,
Że kiedyś—tam sprzedali ją Cygani.

A Graf?... On kochał Diwę wciąż
Namiętnie, dziko i zapamiętale,
Nad życie... jak kochanek, a nie mąż—
Śród zwątpień, burz, w rozpaczy, w ogniu, w sza- [le....

Palącém źródłem jego mąk
I szczęścia razem było serce Diwy,
Wymykające mu się wiecznie z rąk,
Jak zwierciadełka błysk, jak cień lękliwy.

Czasami rajem kilku mgnień
Do głębi saméj pierś mu zalewała,
A czasem dzień i noc—i znowu dzień—
Okrutna—słowa mu nie powiedziała.

Wpatrzona w nieskończoną dal,
Ścigała sennem, nieruchomém okiem
Wspomnienie jakieś pośród życia fal,
Owiane może dawnych dni urokiem.

XII.

Urodził się hrabiowstwu syn:
Lecz ojciec nie polubił swego dziecka—
Za ciemny w żyłkach drobnych dostrzegł płyn:—
Więc oburzała się w nim krew szlachecka.

A dla niéj czém był „młody pan?"—
Czasami się pieściła z nim namiętnie:
Lecz nieraz wprawiał ją w zadumy stan,—
I nagle odtrącała go niechętnie.

Bronzowy ten jéj łona płód
Za często ją z ognistych marzeń budził,
Gdy myśl zwiedzała czarodziejski Wschód,
A wyobraźnię widok szatry łudził.

Niewiele więc hrabiowski dom
Miał chwil śmiejących się i serc szczęśliwych....
Zdawało się, że wisiał nad nim grom
W przyszłości blizkiéj, pełen groźb straszliwych

Spochmurniał Graf... Zwątpienia gad
Co chwila mu się w serce dumne wpijał—
I sączył z wolna w krew zazdrości jad—
I spokój nocny pańskich snów zabijał.

XIII.

Nadpłynął poetyczny maj
Na falach najcudniejszych barw i woni...
Edenem zdawał się calutki kraj...
Ach! czemuż rajskich bram niedola broni?!...

Wieczorny, balsamiczny chłód
Zachęcił grafa z żoną do wycieczki...
Hrabina zimna była dziś jak lód...
Graf milczał... lękał się, widocznie, sprzeczki.

Wjechali w ciemny, głuchy bór,
Pamiętny im obojgu... jak pamiętny!...
Wtém nagle rozległ się cygański chór—
Miłości, woli dzikiéj, śpiew namiętny...

Lecz nie z cygańskich wyszedł ust
Ów krzyk, mocniejszy od tysiąca głosów,
Co czoło grafskie zrył w tysiące brózd,
A po nad czołem podniósł burzę włosów.

A banda tuż...—„Pohańcy! precz!"
Zaryczał graf... O, gdyby mu w téj chwili
W prawicę dano archanielski miecz!..
Cygani w głębi parku się ukryli...

XIV.

Od groźnéj chwili téj pięć dni
Mijało... Diwa—śliczna i wesoła
Jak nigdy... Mąż, gdy o Cyganach śni,
Pieszczota żony płoszy chmurki z czoła.

Posiwiał jednak graf i zbladł...
Cygański tabór zniknął tejże nocy—
I niewiadomo gdzie... jak w wodę wpadł;—
Widocznie zląkł się prawa lub przemocy.

Nadeszła północ... Lekki szmer
Obudził grafa... Jasny blask księżyca
Szyderczo wskazał mu z błękitu sfer
W gęstwinie drzew potworne Jagi lica.

Piorunem—z myślą błysł i czyn...
Po chwili graf już był w pokoju Diwy...
Ach! tam w kolebce spał spokojnie syn,
Lecz matki już nie było!... Nieszczęśliwy!

Na piersi dziecka leżał list
I pierścień włosów.—„Dola mię porywa—
Szum lasów—pieśń taboru—wiatru świst...
Na wieki żegnam was!... *Cyganka Diwa.*"



Graf Jarosz. Układ i rysunek Andriollego.



Widok miasta Peszt-Budy.

XV.

U szczytu granitowych skał,
Nad brzegiem górskiéj, niespokojnéj rzeki,
Hrabiowski zamek w gruzach odtąd stał...
Zburzyła go noc jedna, a nie wieki.

Pamięta okoliczny gmin
Tę noc... jak płomień ciemne lizał głazy,
Jak w ogniu zginął graf i jego syn,—
A mówiąc o tém, żegna się trzy razy.

Gdyż dotąd twierdzi ludu głos,
Że hrabia zabił sam Cyganki syna,
A potém z zamku ojców zrobił stos...
Pomnikiem zbrodni stała się ruina.

Daleko, wśród węgierskich puszcz,
Błąkały się Cyganów bandy liczne;
I każdy drżał na widok dzikich tłuszcz,
Choć młode Zingarelle były śliczne..

Pożoga z niemi szła i mord—
I czary—i choroba serc złośliwa...
Królową tych przeklętych, strasznych hord—
Jak niosła wieść—urocza była Diwa.

Leonard Sowiński.

NA MARNE.

SZKIC POWIEŚCIOWY

przez

HENRYKA SIENKIEWICZA.

Ciąg dalszy. (Ob. Nr. 52).

— Byłeś wczoraj u Heleny? pytał Augustynowicz.

— Byłem.

— Kiedy wasz ślub?

— Natychmiast jak uzyskam stopień.

— Może to i lepiéj dla ciebie, że sprawa tak się skończy.

— Dla czego to mówisz?

— Kiedy to nie wiem czy się nie rozgniewasz, ale ta Lula—ot ja jéj nie wierzę do krocset!

Szwarca oczy błysnęły dziwném światłem; położył rękę na ramieniu Augustynowicza.

— Nie mów ty o niéj nic złego! rzekł z naciskiem.

Szwarc istotnie chciał, by hrabianka oderwana odeń mocą wypadków pozostała mu w duszy niepokalana. Lubował się jéj wspomnieniem.

— Co jéj mam powiedzieć, spytał po niejakiém milczeniu Augustynowicz, gdy się zapyta o ciebie?

— Powiedz jéj prawdę—mów, że się żenię z inną.

— Ech! stary, powiem jéj co innego.

Szwarc spojrzał mu w oczy.

— Dla czego?

— Ot tak!

— Mów jasno!

— Ona cię niby kocha!

Twarz Szwarca zapłonęła; wiedział o wzajemności Luli, ale wiadomość ta z obcych ust wstrząsnęła nim. Piersi napełniła mu słodycz i jakby rozpacz obok słodyczy.

— Kto ci to powiedział? spytał.

— Malinka—ona mi wszystko mówi...

— Więc powiedz Luli: że się żenię z inną, z miłości i obowiązku.

— Amen! zakończył Augustynowicz.

Wieczorem poszedł do pani Wizbergowéj; otworzyła mu drzwi Malinka.

— To pan? rzekła z rumieńcem.

Augustynowicz porwał jéj ręce i ucałował po wiele razy.

— Ach! panie Adamie! nie można, nie można! nalegała spłoniona dziewczyna.

— Można! można! odpowiedział tonem głębokiego przekonania.

— Ale, ale, zdejmując paletot i zapinając rękawiczki (ubrany był nadzwyczaj wytwornie). Był tu jaki młody człowiek dziś po południu?

— Był—przyjdzie w wieczór.

— Tém lepiéj.

Weszli z Malinką do salonu. Salon wyglądał jakoś uroczyście, jakby na przyjęcie znakomitego gościa. Na stole paliła się dwugłowa lampa, fortepian był odkryty.

— Dla czego pan Józef z panem nie przyszedł?

— Toż samo pytanie spotka mnie od hrabianki Luli,.. myślę że jeszcze spotka; w każdym razie pozwól pani odłożyć odpowiedź aż do jéj zapytania.

Hrabianka nie dała długo na siebie czekać. Weszła ubrana czarno, miała tylko kilka pereł we włosach.

— A pan Józef? spytała od razu.

— Nie przyjdzie.

— I dla czego?

— Zajęty. Buduje własną przyszłość.

Hrabiance przykro się zrobiło na myśl, że Józef nie przyjdzie.

— A pan nie pomagasz mu w téj pracy? spytała.

— Niech mnie patron mój strzeże od takiéj pracy.

— Musi być bardzo trudna.

— Jak każda nowa budowa.

— Ciekawam?

— Obowiązek.

— Myślę, że pan Szwarc wszystko na tym gruncie buduje.

— Tym razem trudniéj mu przyjdzie, niż kiedyindziéj.... Ale otoż i ktoś nadchodzi — to kuzynek pani. Jakiż to rozkoszny chłopiec!

Pan Pełski wszedł do salonu, wkrótce za nim nadeszła i pani Wizbergowa.

Po zwykłych powitaniach, rozmowa zaczęła krążyć w oceanie ogólników.

Augustynowicz mało mieszał się do niéj. Siadł na fotelu i przymknął oczy z wyrazem obojętnym na wszystko. Miewał zwyczaj przymykać oczy robiąc postrzeżenia—wtedy nic nie uszło jego uwagi.

Hrabia Pełski (zapomnieliśmy powiedzieć, iż miał ten tytuł) siedział przy Luli, kręcąc w palcach sznurek od okularów, i rozmawiając z nią żywo.

— Aż do przybycia do Kijowa, mówił, nie wiedziałem nic o nieszczęściu, jakie spotkało całą naszą rodzinę, a w szczególności panią, przez śmierć szanownego jéj ojca.

— Czy pan znał ojca mego? pytała z westchnieniem Lula.

— Nie kuzynko. Wiedziałem tylko o nieszczęśliwych sporach i procesach, różniących od lat kilkunastu nasze rodziny. Sporom tym jako małoletni a potém nieobecny zawsze byłem obcy — i jeżeli mam wyznać, przyjazd mój teraźniejszy miał być tylko próbą zbliżenia.

— W jakim stopniu pan był krewnym ojca mego?

— Wychowany za granicą mało w ogóle znam stosunki familijne, w istocie np. szczęśliwemu wypadkowi winienem odkrycie, nie już pokrewieństwa, o którém wiedziałem, ale innych nie mniéj ścisłych węzłów, łączących od dawna nasze rodziny.

— Wolno się spytać o ten wypadek?

— Z chęcią, kuzynko. Objąwszy po śmierci ojca kierunek spraw majątkowych i familijnych, rozpatrywałem się trochę w papierach i rozmaitych dokumentach tyczących mojéj rodziny; otoż z tych dokumentów odkryłem, że rodzina pani nietylko jest spokrewniona z Pełskimi, ale i jednego z nimi herbu.

— Do pewnego więc stopnia — trafowi zawdzięczamy naszą znajomość.

— Błogosławię ten traf, kuzynko.

Lula spuściła oczy; mała jéj rączka kręciła koniec szarfy; po chwili podniosła głowę.

— I dla mnie on równie miły, odrzekła.

Po twarzy Augustynowicza przeleciał odcień uśmiechu.

— Dużo miałem trudności z odszukaniem mieszkania pani. Ten pan (Pełski wskazał jednem okiem Augustynowicza) ma dziwny sposób objaśniania pytających—szczęściem nadszedł towarzysz jego Szwarc, który wreszcie dał mi odpowiedź.

— Rzeczywiście mieszkałam w tym samym domu co i oni.

— Jakimże sposobem poznałaś ich, kuzynko?

— Kiedy ojciec zachorował, pan Szwarc pilnował go w ostatnich chwilach, potém to on wynalazł panią Wizberg i... jam mu wiele winna.

Przymknięte powieki Augustynowicza uchyliły się nieco, wyraz szyderstwa znikł z jego twarzy.

— To doktor? spytał hrabia.

— Będzie wkrótce doktorem.

Pełski zamyślił się cokolwiek.

— Znałem za granicą w Heidelbergu professora i literata Szwarca;—z jakich ten Szwarców.

Hrabianka zarumieniła się mocno.

— O! tego to nie wiem doprawdy.

Oczy Augustynowicza otworzyły się na całą szerokość; z nieopisanym wyrazem złośliwości zwrócił się ku hrabiance

— Sądziłem, rzekł głośno, że pani doskonale wiesz zkąd Szwarc jest i z jakich to Szwarców?!

Pomieszanie Luli doszło do najwyższego stopnia.

— Nie... pamiętam wyjąkała.

— Nie? Więc jéj przypomnę: Szwarc rodził się w Zwinogródce, gdzie ojciec jego był za dni swoich kowalem.

Pełski spojrzał na kuzynkę, i nachyliwszy się ku niéj, rzekł ze współczuciem:

— Boleję, kuzynko, nad fatalizmem, który zmusił ją żyć z ludźmi odmiennéj sfery.

Lula westchnęła. O! niedobre, niedobre to było westchnienie; Lula wiedziała, że u tych ludzi odmiennéj sfery znalazła pomoc, opiekę i serce, że przeto powinni być dla niéj czémś więcéj niż nowo poznany kuzynek, ale wstydziła mu się tego powiedzieć, i zamilkła trochę zła, a trochę rozżalona.

Tymczasem pani Wizbergowa poprosiła gości naherbatę. Lula pobiegła na chwilę do swego pokoju, i siadłszy na łóżeczku zakryła twarz rękoma. Była w téj chwili myślą w pokojn Szwarca. „On tam pracuje," myślała, — a tu mówią o nim jak o kimś obcym dla mnie—dla czego ten powiedział, że on syn kowala? Zdawało jéj się, że krzywdzą Szwarca, ale i sama czuła doń jakby urazę za to, że był synem kowala.

(d. c. n.)

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO I SPOŁECZNEGO.

POSTĘP WYOBRAŻEŃ RELIGIJNYCH W STAROŻYTNOŚCI.

Dokończenie. (*Ob. Nr. 52*).

Chaque lieu de la nature, chaque moment de la durée ayant son génie propre réprésente la Divinité sous une face particulière... A ce point de vue, l'histoire est un culte éternel auquel chaque civilisation ajoute un rite souvent baigné de sang.

Ed. Quinet (Génie des religions).

In unsern Geistern, leben die Geister aller Verstorbenen, aller Zeiten.

H. Steinthal (Mythos und Religion).

Rzecz naturalna że śmiertelni posiadacze ziemi zjednoczeni z nieśmiertelnymi jéj panami przez bliższe i dalsze powinowactwa, usposobienia i cele starali się wyzyskiwać swoich władzców czapką i papką, natrętną prożbą i pobożnym datkiem, przymówką i przekupstwem. Na wpół dziki celt wygrażał pięścią chmurze i wzburzonym wodom, strzelał do nich z łuku, lub wziąwszy nogi zapas zmykał do swego schronienia; praktyczniejszy zaś, górujący cywilizacyą poganin wolał zawrzeć odporne i zaczepne przymierze z nadprzyrodzoną potęgą. Uznawszy się lennikiem prawa boskiego wymagał on w zamian za posłuszeństwo swoje szczeréj opieki; płacił bogom daninę z trzód, i pola, lecz w nagrodę bogowie powinni byli przysparzać jego dobytek, błogosławić stadom i zasiewom, wspierać zamiary, spełniać prośby, niszczyć jego przeciwników a pomagać przyjaciołom. Protektoryat ten jednak nie miał kończyć się w doczesném, ale i do przyszłego rozciągał się życia, chociaż dziwić się nie można, że grubo materyalnéj społeczności chodziło najbardziéj o świeckie zdobycze. Zresztą, nic nie wzbraniało spodziewać się, że ulubieniec bogów za żywia—cieszył się niezawodnie ich łaską i po zgonie.

Rozdzielono więc rzeczy ziemskie na rozmaite zakresy interwencyi nadziemskiéj, wybrano specyalnych bogów na strzeżenie niw i lasów, urodzajów winogradu i zboża, na opiekowanie się wojną i żeglugą, ludzką miłością i nienawiścią. Naznaczeni również byli oddzielni urzędnicy zwani wieszczami, augurami, kapłanami i t. p. do porozumiewania się bogów z ludźmi, z obowiązkiem dozoru nad rzetelném wykonaniem paktu. Skoro pakt został naruszonym (a naruszanym bywał co chwila) kapłani wyrokowali o sposobach zadość uczynienia. Czasem dość było małéj ofiary żeby przebłagać bogów, czasem wszyscy pokutowali za błąd jednego lub kilku występnych. Oprócz klęsk ogólnych, które dowodziły najoczywiściéj zemsty niebian, każda drobna strata, wszelkie mniejsze i większe cierpienia oznaczały także przestrogę lub *karę bożą*. Nie było, mówi Buckle, tak zwyczajnéj ani tak niebezpiecznéj choroby, któréjby nie tłumaczono wpływem bóztwa.

Słowem co zwykło dziać się wśród ludzi to samo powtarzało się w niebie, w piekle i na każdém inném miejscu przeznaczoném na stolicę absolutnych panów stworzenia. Że gniewali się oni chętnie i często doświadczał tego poganin na własnéj skórze, a jeszcze mocniéj utrzymywała go w tém przekonaniu zgraja strażników kultu, coraz dumniejsza ze swego stanowiska i coraz osobiściéj interesowana w szerzeniu i ustalaniu przesądów. Kapłani pogańscy chciwi zysków i znaczenia schlebiali ciemnocie, uświęcając lekkowierność mianem pobożnéj wiary, pomni na to iż wiedza podkopując myty uszczuplała wziętość kapłańskiego stanu. Jakoż monopol nauki zagarnięty przez braminów i magów długo skazywał pospólstwo na fanatyzm i zastój, aż wbrew sztucznym tamom, prawda zaczęła wreszcie przedzierać się pojedynczemi błyskami do bystrzejszych umysłów siejąc w ludzie ziarno mądrości, mało jeszcze pożywne bo raczéj sceptyczne niż twierdzące, to jest wzrosłe zaledwie do zaprzeczenia fałszom, lecz nie wybujałe w kłos wiedzy dodatniéj, plennéj tajemnicą na wskroś przeniknioną, zasadą do wnętrza zrozumianą.

Z widokami kasty kapłańskiéj połączyły się nadto w danéj okoliczności wpływy publicznego dobra i spokoju. Na religii osnuwał się już wówczas i porządek społeczny, w skutek czego nagłe usunięcie tak ważnéj podstawy zagrażało całéj machinie państwowéj. Oprócz więc kapłanów, myt miał jeszcze za sobą orędownictwo prawodawców i zwierzchności, polityków i niektórych filozofów dzielących błędne zdanie że godziwą jest rzeczą krzewić fałsz użyteczny tam gdzie światło prawdy byłoby zbyt rażącém i zbyt niebezpieczném dla nienawykłego do jéj promieni oka. W ogóle wszelkich przesądów niełatwo się pozbywamy, a zwłaszcza tych, które niegdyś uważaliśmy za świętość i z któremi jednych wiąże resztka niewygasłych złudzeń, drugich zaś, najszkodliwszych dla postępu—faryzeizm usprawiedliwiany przez takich nawet jak J. W. Draper myśliciéli. Draper mniema, że udawanie wiary na przekor zdrowemu rozsądkowi i skrytemu przekonaniu leży w naturze społeczeństw i w naturze praw rządzących cywilizacyą. Na to wypadałoby odpowiedzieć że i zbrodnia leży także w naturze ludzkiéj, a przecież za nieodzowny warunek cywilizacyi uchodzić niepowinna, bo nie jest owocem żadnéj nowéj oświaty lecz spadkiem staréj niemoralności. W zasadzie nie ma i nie może być nigdy *zła koniecznego*, nie ma i być nie może wiecznie trwałéj spójni pomiędzy fałszem i prawdą; złe i fałsz działają niekiedy w anormalnych położeniach jako przeciw-trucizna; niszczą się one wtedy nawzajem nie zmieniając ani na jotę swego ujemnego charakteru. Z tém co nazywa się złém koniecznem lub fałszem nieuniknionym, a do czego przyzwyczajamy dzieci i „młodszych naszych braci" ludzkość tak samo w miarę środków swoich walczyć jest obowiązaną jak walczy z każdém inném złem, z każdym innym fałszem — bacząc na to, że równouprawnienie w poznawaniu dobra i prawdy należy się jednakowo wszystkim ludziom na wysokich stanowiskach i w nędznym stanie, od kolebki aż do grobu, a jeśli nie wszyscy ze swego udziału użytkować jednostajnie mogą, to wszyscy przynajmniéj mają prawo żywić się zdrową moralną strawą, a nie jadem sofizmatów, któremi tak często pieczołowici karmiciele przeładowują towarzyski organizm.

Ledwie wskazaliśmy dwa główne charaktery pojęć mitycznych czerpanych ze świata zewnętrznego (fetyszyzm) i z przymiotów istoty ludzkiéj (antropomorfizm), a oto już eśmy dobiegli do krańca właściwéj mytologii. Świat materyalny przestał nareszcie dostarczać bogów człowiekowi. Wygnała ich z lądu znajomość geografii, z wody poznajomienie się z jéj łożyskami, z nieba i z piekła skazówki astronomii, geologii i t. p. Bez wątpienia nauka u starożytnych w drobnym dopiero była zawiązku, ale za to odkrywał się przed nią cały zakres rzeczywistości który już myty przekroczyły i do których pod żadnym pozorem (nie licząc zboczeń wyjątkowych) wrócić nie miały. A przecież jak dawniéj tak i późniéj przyczyna tejże rzeczywistości niezaprzeczanéj lecz owszem z postępem wiedzy coraz w szczegółach jaśniejszéj—została ukrytą... Nie była ona zwierzęciem, nie była żywiołem, nie była człowiekiem, nie znajdowała się ani tu ani tam, ani w górze ani w dole, ani w prawo ani na lewo... Czémże więc była i dokądże za nią człowiek zmysłami swemi, myślą lub domysłem mógł podążać?

W obu tych pytaniach postawionych niegdyś przed upływem wielu stuleci, uderza zwłaszcza ich niezmienność i uporczywość z jaką wymykały się ludzkiemu dociekaniu. Rozstrzygając je ludzkość wykonywała coś podobnego do roboty potępieńców. Jak bajeczny Syzyf toczyła wciąż brzemię zagadki ku świetlanym a piętrzącym się w nieskończoność szczytom cywilizacyi, żeby doścignąwszy najbliższéj wysokości strącać z niéj dźwigane w pocie czoła ciężary; jak Danaidy wlewała w bezdenne naczynie tajemnicy zdrój swéj pracy i wyrobionych zdolności. Napróżno! Mijały wieki, kruszyły się myty bóztw na ziemskich piedestałach wznoszone—a przedmiot wyobrażeń religijnych *wyrażający ciągle w odpowiedniéj stanowi pojęć formie:* przyczynę bytu, nie objawił się ani razu w bezwzględnéj swéj prawdzie człowiekowi. To też i pytania którym tyle poświęcił on trudów przechodziły z czasu w czas niezbadane.

Stało się więc, że teorye religijne pogan przeświadczających się stopniowo *co niemogło być uważaném za bóztwo*, a ubóztwiających to zawsze *co było najmniéj znaném* utraciły podstawę świata realnego. Odtąd filozofia wciąga religię pogańską w świat idealny lub właściwiéj mówiąc, religia rozdwaja się *de facto* choć nie *de jure* na osobiste domniemania uczonych i na korną wiarę prostaczków.

Filozofia i mytologia! Sprzeczność między temi wyrazami zdaje się być stanowczą, lecz nie sądźmy aby rozciągała się aż do ich rdzennego znaczenia, aż tak daleko żeby punkt zetknięcia się nie istniał dla nich w dziejów przestrzeni. Owszem, wiążą się one z sobą w dążeniu do prawdy—w celu. Myty dla ludzkości były bełkotaniem niemowlęcia spowitego w pieluchy, filozofia jest już jéj mową, obrazem jéj kształcącéj się myśli. Wyłoniły się tu z łona czasów dwie rzesze i dwa wyznania — nie w postaci wiecznego przeciwieństwa, lecz jako dwa równoległe kierunki, a raczéj niby ostateczne punkta wspólnego promienia. Od owéj chwili obie te religie i oba społeczeństwa różnią się z sobą, nie dobrze nawzajem siebie rozumieją, lecz wpływ umysłowéj starszyzny silnie przenika do pojęć dziecinnéj ludzkości. Ostatnia naśladuje pierwszą; urabia bezwiednie swoje niedołężne myty na wzór wniosków poważnych — swoje, że tak powiemy mechaniczne dźwięki na wzór rozumnego słowa. Mytologia, jeśli na nią spojrzymy ze stanowiska logiki musiała przejść w stan filozofii, patrząc zaś ze strony faktów spełnionych, przekonamy się, że nietylko było to logiczną potrzebą, lecz i uskuteczniało się także historycznie.

Do dziedziny idealnéj myt wcisnął się wszakże sposobem przemycanym. Królestwo jego nie było z tego świata. Myt istota, przedmiot formalny smutną odgrywał rolę w bezcielesném państwie idei, gdzie zawadzały wszelkie zmysłowe kształty obcych dowodzące pierwiastków. Okazało się, że chcąc zachować pozory majestatu, dostał się on tym razem do złoconego więzienia. Rozciągnięto go na prokustowém łożu filozoficznéj pobożności, kaleczono bez miłosierdzia nastrajając do modnych opinij, popychano z lekceważeniem pod pretekstem, że się mu przyzwoitsze należało miejsce. W przymusowych tych próbach znędzniał dawny myt do znikomości widma....

żeby mógł łatwiéj udawać ducha, panteistycznego boga lub oderwany absolut.

Tak wycieńczonego narzuconą mu gwałtem przemianą, odartego z naturalnéj swéj treści, wyznawcy nowi ogłaszali za bóztwo powszechne, za jedyny powód rzeczy i dźwignię wszechruchu. Ale właśnie ta uniwersalność rozszerzona do wszystkiego i po za wszystko przeszkadzała mitycznemu bogu być czemś osobowém i lokalném czemś wyrazistem—w przestrzeni i w czasie bytującém. Był wszędzie i zarazem nie było go nigdzie, stworzył świat i sam chyba rozpłynął się w nim do nicestwa, lub nieujęty i niepoznany czuwał nad dziełem swojém z poza obrębów stworzenia.

Postęp wyobrażeń religijnych w starożytności doszedł więc na górnych szczeblach swoich do bacznego odróżniania zjawisk bytu od jego przyczyny, zamienił myt na ideę nie znoszącą ograniczeń, rojenia wyobraźni na konsekwentność nauki. Obok bóżnicy augurów i hierofantów, w któréj uboga wiedzą czerń pogaństwa odbywała po staremu swoje praktyki, dźwignął on w umysłach i w sercach świątynię prawdy, zkąd przyszłość brała wyroki, wzniósł na widowni historycznéj trójnogi i kazalnice, zkąd rozbrzmiewał głos Sokratesa, zkąd przemawiali Plato i Arystoteles.

Krótki ten przebieg postępu mytologii zamykamy wspomnieniem sławnych zaiste imion.... bezpośrednich jéj wychowańców, a starszych od nas synów téj pełnéj zgrozy i pełnéj błędów rodzicielki — przeszłości, któréj, my dzisiejsi zarówno jak owi dawni nietylko ciałem ciała, ale także i myślą myśli jesteśmy... *D. Henkiel.*

PESZT.

Dwudzielna a trójimienna stolica państwa madziarskiego Buda-Ofen-Peszt, początkiem swoim ginie w pomroce czasów przedhistorycznych. Ledwo Rzymianie za Oktawiana Augusta zajrzeli w te strony zamieszkane przez lud plemienia słowiańskiego zwany Dakami, już znajdujemi tę osadę tak samo jak dzisiaj na dwie części Dunajem przedzieloną, a nazwaną przez nich Aquincum i Contra-Aquincum (niby wodnisko), zapewne od gorących źródeł mineralnych, dotąd bijących z pod ziemi na prawym brzegu Dunaju w Budzie, która też nie z innego powodu otrzymała niemieckie przezwisko Ofen (piec). Za Trajana ciemiężeni przez Rzymian Dakowie słowiańscy hurmem wyprowadzili się w północniejsze strony Europy, nad Wisłę i morze Baltyckie, nad Dniepr i Dźwinę i nad Ładogę, unosząc z sobą słodkie wspomnienia Dunaju, o którym nie wiedząc nawet gdzie płynie, dotychczas nie zapominają w swych pieśniach ludowych. Od owéj pory gospodarzyli tam Rzymianie, a z późniejszego przezwania przez nich téj osady Acincum i Contra-Acincum, jednobrzmiącego z nazwą gron winnych i najprzedniejszego wina z jagód przejrzałych czyli maślaczu, wnosić wolno, iż Rzymianom należy się może chluba zaszczepienia nad Dunajem winnic, którémi na cały świat słyną dziś Węgry. Zresztą nazwa dzisiejszego Pesztu od rzymskiego przezwiska Pessum znaczącego niższą część miasta, ruiny łazienek, amfiteatru i liczne kamienie z napisami łacińskiemi w Budzie, oto wszystko co po Rzymianach w stolicy Węgier pozostało.

Wśród wędrówek narodów, które jak fale oceanu posuwały się jedne za drugiemi i wszystko zmiatały po drodze, Buda-Peszt na długo znika całkiem z widowni historycznéj. Jedynie po zajęciu téj części krainy naddunajskiéj przez Hunnów, Buda chwilowo się ukazuje jako stolica Attyli w pierwszéj połowie V wieku. Dopiero po zdobyciu puścizny „bicza bożego" przez Madziarów pod wodzą Almusa i syna jego Arpada w r. 894, Buda obrana czy to przez nich, czy też przez jednego z ich potomków na siedlisko monarchów i władz naczelnych kraju, już odtąd dzieląc się dostojnością z drugą swą połowicą Pesztem, zachowuje ten charakter po dzień dzisiejszy. Stosunki Węgrów z Polską najprzód krwawe w zatargach o Ruś Czerwoną, potém dynastyjane i sprzymierzeńcze we wspólnym odporze potęgi tureckiej, wreszcie handlowe i towarzyskie, od lat kilkuset zawiązały nici stosunków pomiędzy stolicą węgierską a Polską. Dynastya Jagiellońska panująca nad Węgrami od Władysława Warneńczyka powołanego na tron w r. 1442, do zgonu Ludwika Jagiellończyka pod Mohaczem 1526, a nawet do śmierci siostry Ludwika Anny żony Ferdynanda austryackiego zmarłéj w 1547 r., otaczała się możnowładcami nietylko węgierskimi, lecz i polskimi, a niejeden z nich jak np. Stanisław Łaski więcéj zasłynął w dziejach węgierskich niż w polskich. Późniéj jeszcze Jan Sobieski w 1686 wydarł Turkom warownię Budy, by ją zwrócić prawemu posiadaczowi tych krain, który jeżeli walecznością dorównać mu nie umiał, pychą przewyższyć potrafił. Jeszcze później, po przeniesieniu uniwersytetu z Tyrnawy do Budy i Pesztu, rozlegać się tutaj zaczęły z katedry harmonijne wiersze łacińskie Sarbiewskiego, a najnowsze uczenie kommentowane wydanie tego poety wyszło z pod prassy peszteńskiéj...

Historya tego dwoistego miasta jest historyą całych Węgier; wszystkie koleje, jakie ten kraj przechodził, przechodziła i jego stolica: niepodobna więc w dorywczym artykule choćby przelotnie ich powtarzać. W r. 1848 miasto pozbawione zaszczytu rezydencyi cesarza i króla austryacko-węgierskiego, od pogodzenia się z Węgrami w r. 1868, po uroczystéj koronacyi w Peszcie, staje się znowu coraz częstszém miejscem pobytu cesarza Franciszka Józefa, a małżonka jego rzadko z Węgier zagląda do Wiednia. Po wypchnięciu Austryi z Niemiec, polityka austryacka za radą Bismarcka zwracając oczy ku Wschodowi, punkt ciążenia państwa posuwa też na wschód do Pesztu. Charakter miasta dziwnie odpowiada potrzebom stolicy państwa tak różnojęzycznego i różnowierczego jak Austrya. Kiedy Wiedeń jest miastem z gruntu niemieckiém i tchnie nienawistną dla innych wyłącznością niemiecką, tu wszelkie narodowości znajdują się jakby u siebie w domu. Na 131,705 ludności Pesztu a 52,240 Budy, znajdziesz tu jak w istnym kojcu Węgrów, Niemców, Słowaków, Rusinów, Słoweńców, Kroatów, Serbów, Bulgarów, Rumunów, Włochów, Albańczyków, Greków, Ormian, Żydów, Cyganów, a to najprawdziwszych obywateli węgierskich, nie mówiąc nic o cudzoziemcach. Wszystkie te elementa, każdy pracując dla siebie, pracują zarazem dla wspólnéj sprawy wolności i dobrobytu materyalnego. Swoboda i tolerancya od wieków zaszczepione w Węgrzech, sprawiły, że historya Budy-Pesztu nie daje nam przykładu zakrwawienia ulic w zatargach religijnych lub narodowościowych pomiędzy jego ludnością. Z tego względu Peszt dla monarchii austryacko-węgierskiéj stanie się może w przyszłości źródłem potęgi i szczęścia, jak Wiedeń jest dzisiaj źródłem rozkładu i poniżenia.

ROZMAITOŚCI.

— Dla ułatwienia kommunikacyi między Liverpoolem a poblizkiém miastem Birkenheaden, buduje się obecnie tunel podwodny mający po ukończeniu mieć trzy mile ang. długości i mieścić dwie pary relsów. Uwieńczenie pracy zapowiadają za dwa lata.

— W Anglii łącznie z Wallią znajduje się w téj chwili około 2,000 stowarzyszeń budowniczych, liczących 800,000 członków. Kapitał zakładowy z drobnych składek powstały, wynosi 9 mil. fst.; dochód zaś brutto daje rocznie około 11 mil. fst.



Panu **Bohdanowi H......** w Kijowie. Rocznik literacki Czarnockiego kosztuje kop. 60, przesyłka od 15 do 20 kop. kosztować może. Wiersze „Bolejącemu" nie będą pomieszczone.

Panu **Janowi L.....** w Olchowcu. Encyklopedya Powszechna 28-mio tomowa jest zupełnie wyczerpaną.

Sprostowanie. W numerze 50, na stronicy 466, wiersz 6 od góry: zamiast *dwurożny połksiężyc*, powinno być *dwurożny, półkrężny*;

tamże, w wierszu 8, zamiast *toczyło się*, czytać *toczy się*.

W numerze 21, na stronnicy 474, szpalcie 3, zamiast *potrzeby*, czytać *przeszkody*.

Wydawca, Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою, Варшава 19 Iюня (1 Iюля) 1872 г. **Redaktor**, Mieczysław Orgelbrand Mag. Pr. i Adm.

w Drukarni S. Orgelbranda Synów, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.